ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 21 Marca 1914 roku № 12.

Andrzej Strug.

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

2

Powieść z obcego życia.

— Czy jednak nie uważa pan, że panowie Lytton są nieco lekkomyślni?—zaczął ostrożnie markiz. — Ja osobiście nie znoszę marnotrawstwa...

— Co im to szkodzi? I tak nie mogą wydać wszystkich dochodów. Głupcy oni są, to prawda, ale też do gotowego przyszli; to zdawna bogata rodzina ze starego Bostonu. Nigdy nie pracowali — bo, właściwie, poco? Kiedy zawsze mieli z czego żyć?

— Mogliby czynić dużo dobrego dla swego społeczeństwa.

— To nie ich sport. Ich sport, to góry — no, i te kamienie pamiątkowe. Jak im z tem dobrze? Co to komu zawadza? Niech się bawią.

— A ot wasz Henneway, wielki człowiek! Gdybyśmy we Francyi mieli takiego...

— Henneway... No, tak... W całym świecie znany... Wszystkim potrochu pomaga. Wszędzie wsadzi swoje trzygrosze. Armeńczycy po rzeziach, żydzi po pogromach błogosławili jego imię. No, trzęsienie ziemi w Messynie znowu pięć milionów... W lada dziurze, w dzikich północnych Stanach stoi uniwersytet fundacyi Henneway'a. Niejeden stoi pusty i niepotrzebny, ale stoi. Koresponduje z monarchami... Tak... Tak... Ale te sprawy trzeba bliżej znać...

— Imponujące! To zjawisko jedyne w swoim rodzaju! Oto gdzie wyraził się geniusz nowego świata. Bogacz, który na schyłku życia oznajmia, że zwraca ludzkości zdobyte pieniądze. O—ten wielbłąd przejdzie przez ucho igielne!

— I to mu się będzie słusznie należało. Ale wie pan co, nie należy znowu tak zanadto... Ot, obu Henneway'ów znam oddawna. To melancholicy. Starszy—Harry—leczy się na spleen przez rozgłośną filantropię i ma z tem tyle do roboty, że nie ma już czasu na utrapienia. Jakiś mądry lekarz mu to poradził. A młodszy — Taddy — ten jest daleko bogatszy od brata—to melancholik niemożliwy, beznadziejny. Taki sam, jak brat, tylko jeszcze nie wynalazł swojej manii na swój spleen. A obaj wistocie są jednakowi. Jeden się oszukuje i niby mu jest dobrze, a drugi nie może. Taddy jest daleko bystrzejszy od brata. O, bez porównania!

— I cóż robi ten młodszy?

— Nic nie robi. Obaj od dziesięciu lat wycofali się z interesów — co to ludzi u nas pobankrutowało przez to wycofanie. No — podzielili się zgodnie, jak bracia, i każdy sobie radzi, jak może. Taddy żyje skromnie, mieszka pod Paryżem i nudzi się.

— Ma rodzinę?

— Ma córkę, starą pannę.

—Starą pannę?

— Też maniaczka. Chciało jej się koniecznie wielkiej miłości, nikomu nie ufała. Siedzi przy ojcu i martwią się we dwoje. W domu u nich—jak po pogrzebie. Nie wiedzą, poco żyją.

— A Harry?

— O, ten ma żonę, która pracuje razem z nim, daje posłuchania, oblegana przez reporterów, bywa u monarchów. Ma syna i dwie córki zamężne, które nie dadzą ojcu centa ruszyć z kapitałów i, oczywiście, po najdłuższem życiu wielkiego papy skończy się cała komedya... Wolno było papie napisać w swoim manifeście: „Oddaję mój majątek ludzkości". Ale syn i córki nie pozwolą mu oddać.

— A jeżeli w testamencie?...

— Nigdy w życiu! Pan nie zna amerykanów. Nie może być mowy o podobnym testamencie! Poprostu fortuna się podzieli na trzy części — każde z trojga będzie miało dosyć—no, i każdemu będzie lżej. Bo, pan mi zapewne nie uwierzy, ale w naszym świecie coraz częściej spotyka się ludzi, którzy jakoś nie mogą podołać fortunie.

— Pan żartuje. Człowiek kulturalny potrafi i używać i użytkować. Można opływać we wszelkie dostatki, a być pozatem dobroczyńcą swego kraju... Ależ, przyznam się panu, że poprostu nawet nie rozumiem możliwości podobnego zagadnienia!

Slazenger uśmiechnął się nieznacznie.

— ...U nas, w starej Francyi, no, naturalnie, ceteris paribus...

— Ceteris paribus... — przerwał mu Slazenger, przekręcając łacińskie słowa, i roześmiał się głośno i szeroko. — Otóż to, że tak rozumować nie można. Tu znaczy właśnie zupełnie inna skala! I zupełnie inne gadanie.

I król miedzi dobrodusznie poklepał markiza po łopatce. A jeden z najbogatszych panów Francyi zrozumiał po raz niewiadomo który, co znaczy nowoczesne bogactwo. Klepanie przyjął ze stoicyzmem, pełnym życzliwości

Zbliżał się wieczór. Z gór ściągali alpiniści. Obwieszeni linami w towarzystwie przewodników stąpali okutemi butami z dumą i powagą wielcy, sławni wspinacze. Tłum filistrów podziwiał ich napoły z przestrachem i szeptał ich imiona. Opowiadano sobie naprędce legendy o ich nadzwyczajnych przygodach i katastrofach.

Zaroiło się od turystów lekkiego znaku. Powracali od lodowca Görneru, z doliny Findelen, wyłazili z wązkiej czeluści Triftu, walili gromadami od strony hotelu Riffel. Grupy rozbawionych i podnieconych wycieczkowiczów, rozśpiewane jodłujące panny, z pękami rododendronów, z szarotkami u kapeluszy — muły ze starszemi paniami, muły z bagażami, olbrzymie dorodne krowy, powracające z pastwisk, przepychały się przez tłum, dzwoniąc donośnie. Do zgiełku i zamętu dorzucały swoje hałaśliwe kwartety, rżnące po kawiarniach i „bierhallach".

Derjac z ojcem przeciskali się przez tłum, starając się jaknajbliżej ocierać o rodzinę Slazengerów. Szli też za nimi, wymijali ich, zatrzymywali się opodal, zawracali. Rozmawiali ze sobą swobodnie, nie przyglądali się zbytnio niczemu, ale chwytali każde słowo. Kto wie, na ulicy, w tłumie z każdym się można potrosze zapoznać. Kto wie, kiedy jakaś drobna rzecz może się na to przydać?

Przechodząc koło kawiarni „Zum Bären" ujrzeli na werandzie Hansa, siedzącego przy piwie w towarzystwie jakiegoś pięknego, nieco nazbyt wytwornie ubranego młodzieńca.

— Dyabelnie długo każą nam czekać na to głupie widowisko... (To jest jej groom, bardzo zaufany chłopiec).

— No, czekaliśmy tyle, to poczekajmy jeszcze. Co masz lepszego do roboty? (Hans dziś mi powiedział, że od trzech dni romansuje z samą garderobianą panny. To jego najpewniejszy sposób...).

— Jeżeli i jutro będzie tak ładnie, pojedziemy chyba na Görnergrat. (Ale ja w nic nie wierzę. Trzeba próbować dalej. Może w drodze?)

— Owszem, owszem, a może i państwo do Morell wybiorą się z nami? Będzie ci weselej. (Przecież oni jeżdżą we własnym sleepingu. Jak się tam dostaniesz?)

— Ten wagon stoi w Brieg?

—W Brieg. Pojedź tam i obejrzyj go, jeśliś ciekawy. Bardzo piękny pałacyk na kołach — cały biały. Tylko mi tu nie buduj planów z Sherlocka Holmesa. Od planów jestem ja. — Ależ brzydka ta miss Slazenger!

— Wspaniała budowa, ruchy pańskie i swobodne. Może się bardzo podobać.

— Staraj się o nią! Zamaskujesz się porządnie. Czerpniemy jeszcze ze wspólnego rachunku ze trzydzieści tysięcy na konkury — klubiści z Paryża cię wprowadzą — masz robotę na sezon zimowy. Tylko my tymczasem i tak ubijemy sprawę.

— Ten wagon możnaby w porę popsuć. Podłożyć nabój — zamach zwalą na włochów, którzy pracują przy kolei. Wszyscy odrazu będą wiedzieli, że to Czarna Ręka.

— Myśl niezła, ale dopóki Hans nie wie, gdzie chowają étui i kto za nie odpowiada. Co? Będziesz im cały wagon rewidował?

— Już powinien wiedzieć.

— Myślisz, że tam w całym domu wszystkim opowiadają, gdzie schowane.

— A może naszyjnika tu niema? Może leży spokojnie w Paryżu, w banku?

— Jest tutaj!

— Skąd wiesz? Mój stary — wiesz, że jestem zgodny wspólnik, ale te wieczne wasze tajemnice już mi się przejadły. I ja, u dyabła, chciałbym nareszcie coś zrozumieć.

— Krzywda ci się kiedy stała? Mój chłopcze, lubię cię, jakgdybyś naprawdę był moim rodzonym synem. Ale w interesach...

Tu stary zakasłał się straszliwie. Osłaniał sobie usta ręką, zczerwieniał i gwałtownie szukał chustki.

— Co ci się stało?

— Znowu to samo... Nie trzeba... było wychodzić wieczorem... Za ostre... powietrze...

Derjac, widząc jego spojrzenie, nie pytał więcej. Wziął go pod rękę i szli szybko.

Kiedy wyszli z tłumu, Derjac targnął go za ramię i szepnął:

— Gadaj!

— Widmo z piekła! Spotkałem dyabła. Do stu piorunów! Rzeczywiście tutejsze powietrze jest dla mnie za ostre... Dziś w nocy jadę. Wracaj — daj znak, żeby Hans natychmiast szedł do domu!

— To on?

— On. Najgorsze, że nie wiem nic — poznał, czy nie poznał. Jestem bardzo zmieniony, ale to jest straszny pies.

— Patrzał na ciebie?

— Nie. Ale on i tak widzi.

— To i mnie pozna.

— Nie mógł widzieć, że szliśmy razem. W tem miejscu było zadużo ludzi. Ruszaj po Hansa i wracaj mi natychmiast. Trzeba radzić.

Towarzystwa się łączyły, zbijały w gromady. Na tarasie kawiarni „Edelweiss" zebrała się niebawem cała societa z Astoria Palace, oprócz Van Joerga, który zawsze trzymał się na uboczu, i Shurmana, który nigdy nie pokazywał się na ulicy.

Wszyscy kelnerzy, ilu ich było, z pryncypałem na czele, otoczyli niezwykłych gości, zgięci w pałąk, pytając o rozkazy. W oczach pryncypała paliła się tak porywcza gotowość na wszystko, że zdawało się, iż bez wahania i natychmiast, na pierwsze żądanie milionerów z „Astoria Palace", zarżnąłby i usmażył napoczekaniu własną żonę, niewiastę wierną, grubą i plugawą, jak szwajcarskie wole. Siedziała ona w kasie, odchodząc od przytomności, i dzwoniła na alarm bez przerwy i bez żadnej potrzeby.

Orkiestra urwała w połowie jakiegoś walca i już rżnęła „Yankee Doodley" dwa razy głośniej, niż to grywają nawet w stanie Atabasca.

Goście, zajęci rozmową i tem, co się działo na ulicy, zdawali się nie spostrzegać tych ostentacyi. Tylko Slazenger, nie patrząc na zgraję, machnął ręką na pryncypała, jak na muchę. Wówczas kamerdyner John, stojący skromnie na uboczu, nieposzlakowanie czarny dżentelmen, zbliżył się dyskretnie i odpędził napastników.

— Jazda! Państwo chcą tylko posiedzieć...

— Jaśnie panie, szampan z najpierwszych domów... Bażanty...

— Jazda! My nie głodni...

Kelnerzy odstąpili stropieni, gospodarz, nie wiedząc już, co robić, stanął przed orkiestrą i, wygrażając obu pięściami, podniecał muzykantów, choć ci grali, jakby się już zupełnie wściekli.

Ale król miedzi, zmuszony w rozmowie przekrzykiwać hałaśliwe dźwięki, spojrzał na Johna zniecierpliwiony. Po chwili „Yankee Doodley" urwało się nagle, jakby cała orkiestra zapadła się pod ziemię. Natomiast wystąpił kwartet jodlerów, ale zanim zawyli i zaczęli spazmować, John wetknął im coś w łapę. Cofnęli się w popłochu szczęścia.

Markiza de Chappedelaine dla chwilowego wytchnienia w angielszczyźnie, zaczęła rozmawiać z hrabianką de Colardeau. Dama do towarzystwa, ale bądź co bądź, nazwisko jakie takie, no, dość marne, napoleońska szlachta...

— Pani dawno w Ameryce?

— O nie, dopiero od dwóch miesięcy towarzyszę lady Hartley. Zaledwie przyjechałyśmy z Paryża do New-Yorku, a już wybierałyśmy się z powrotem.

— Pani Hartley tak rozmiłowana w podróżach?

— O, tak! Zresztą, tam wszyscy ustawicznie jeżdżą po świecie. Mnie to bardzo bawi.

— Prowadzą panie życie światowe?

— Pozycya nas do tego zmusza. Choć pani moja lubi spokój, a ja również. Wychowana jestem w klasztorze.

— A gdzie, jeżeli wolno...

— W Troyes, u Urszulanek...

— Ach! Jest tam przeoryszą moja blizka kuzynka, księżna...

— ...Duzès! Najczcigodniejsza moja opiekunka i matka! Jakże mi miło... Ileż jej zawdzięczam!... To dzięki jej wysokiej protekcyi i poleceniom dostałam się do domu lady Hartley.

— Tak? Bardzo mi miło.

— Księżniczka Duzès? — zawołała dość poprawną francuszczyzną lady Hartley, przechylając się przez stół. — Ależ to mój anioł opiekuńczy! Pani jest jej krewną? Jakże się cieszę, że panią poznałam! Jesteśmy oddawna w korespondencyi. Przysyła mi piękne książki i nawraca... Dla niej wszystko bym zrobiła. To ona zapoznała mnie z hrabianką, która jest mojem jedynem szczęściem, pociechą w mojej doli... Nie patrz tak na mnie, Mariette, nie wstydź się, że jesteś taką dobrą, taką kochaną, taką śliczną.

— Ach lady Hartley! Jakaż z pani entuzyastka! Zupełnie jakbyś była francuzką i to skądś z południa...

— To bardzo miło widzieć takie wzajemne przywiązanie...

Panna Slazenger spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem, widząc ją po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w podobnem ożywieniu. I w owej chwili dopiero spostrzegła, że

Ada jest jakby cała odmieniona. Uczyniła się młodszą, jeszcze piękniejszą; oczy, jakby nieco pijane, śmiały się i paliły. Z radością wsłuchiwała się w jej dawny, pełny, srebrzysty głos, który w niej kiedyś tak lubiła. Nie słyszała go od trzech lat — od śmierci sir Hartleya.

— Co się z nią zrobiło? A może usłuchała mojej rady. Już zakochana? Byłoby to za prędko, a zresztą, w kim? Przecież nie w tych drągalach — chyba w moim markizie. To ciekawe... Coby też uczyniła ta „błękitna krew" w podobnym wypadku?

Tu zauważyła, że obaj „drągale", Dudley i Powell, zanadto przyglądają się pannie Mariette. Niby niechcący, a patrzą raz po razu. Ojciec gada wciąż z markizem, ale nie odrywa od niej oczu. Nawet jakaś obca para, siedząca tuż obok ich stołu, przyglądała się jej z nabożeństwem. Tylko jeden Gustaw udaje, że jej nie dostrzega.

I Lucy doznała strasznego bólu — bólu własnej brzydoty. W tej jaskrawo i dziwnie pięknej „pannie służącej" widziała, jak w zwierciadle, swoją znienawidzoną, przeklętą twarz. Podobne ataki zdarzały się rzadko, ale były strasznie przygnębiające.

Na parę dni, na tydzień, czasami na dłużej ogarniała ją rozpacz, dochodząca do szału. Zamykała się przed całym światem i dręczyła się snując waryackie plany, marząc o nieprawdopodobieństwach.

Czyż niema sposobu w nauce, czyż niema lekarza-cudotwórcy, który by za cenę tylu milionów, ileby tylko sam zażądał... Niech z niej zedrze starą skórę, niech jej zaszczepi cudzą krew, niech ją torturuje i dręczy...

Nie. Ona żyć nie może. Nie może znieść tych poniżających spojrzeń ludzkich. Ojciec musi kupić wyspę bezludną, gdzie będzie sama. Sama, absolutnie samotna. Niech jej postawi wygodny dom, niech jej raz na miesiąc dowożą to, co tam potrzeba do życia. I już. Na całe życie!

Wstąpi do katolickiego klasztoru. Na całe życie! Tak!

Dręczyła ojca, matkę, dokuczała służbie, zamęczała na śmierć konie, hasając w szaleństwie po bezdrożach. Piła butelkami koniak i upić się nie mogła nigdy. Niszczyła kosztowne meble, darła najcudniejsze suknie i koronki, wściekała się, ciskała do wody klejnoty. Trwoniła na nic wielkie sumy, rzucała w błoto tysiące, jakby czuła nienawiść do pieniędzy.

Aż któregoś dnia budziła się, jak po gorączce, bez żadnego śladu w duszy. O swojej brzydocie jakby zapominała. Znowu stawała się hulaszczo wesołą, dzielną, zdrową „rekordmiss" w wielu sportach, dawną i powszechnie lubianą Lucy Slazenger, królewną miedzi, przystępną i miłą, ale dobrze znającą swoją cenę.

Matka patrzyła na nią z niepokojem. Już spostrzegło matczyne oko.

— Lucy...

— Czego tam? Proszę mnie zostawić w spokoju. Co ojcu jest. Czego odemnie chcecie?

— Lucy najdroższa — szeptała matka. — Chodźmy do domu. Chodźmy zaraz, na miłość boską...

— Garson! Whisky i syfon wody.

Towarzystwo zamilkło, poczem wszyscy nagwałt zaczęli mówić o byle czem, ażeby pokryć niemiłą sytuacyę. Na szczęście, tłum z ulicy zaczął biedz w jedną stronę.

Zdala dochodziły posępne dźwięki rogów alpejskich.

— Już idą! Idą!

Na przedzie kroczyło parami sześciu przewodników z wiązkami lin, z jakiemiś hakami i innemi narzędziami dziwnego nabożeństwa, nieznanemi w rzemiośle alpinistycznym. Kapelusze mieli ubrane kwiatami, szerokie, ogorzałe pyski śmiały im się z ukontentowania.

Za nimi Lytton ojciec i Lytton syn kroczyli dumnie i z powagą, kłaniali się naprawo i nalewo publiczności, która krzyczała, biła oklaski, machała kapeluszami i śmiała się do rozpuku. Z tyłu szedł sekretarz i fotograf wyprawy.

Poczem sześciu tragarzy dźwigało na ramionach nosze, na których omotany siecią lin i tonący w rozkwitłych gałązkach rododendronu spoczywał ów kamień ze szczytu Matterhornu. Pochód zamykali tragarze zapasowi, oraz ludzie, niosący namiot, pościel, kuchnię polową, aparaty fotograficzne i inne toboły.

Niewiadomo, jak wyobrażano sobie ten kamień, dość, że wszystkim wydał się on dziwnie mały. Nieregularna bryła, fantastycznie ociosana przez odwieczne moce wichrów i mrozów, ściągała na siebie wszystkie spojrzenia. Ludzie pchali się ze wszystkich stron, macali zimny głaz, stukali weń laskami, oceniali na oko jego wagę, zawadzali tragarzom i wreszcie powstrzymali cały pochód.

— Zmiana! — zakomenderował Lytton syn.

Tragarze z ulgą złożyli na ziemi ciężar i ocierali spocone oblicza i karki. Ale zanim dźwignęło go innych sześciu — przez tłum przedostała się gromada kilkunastu dżentelmenów w dość zaniedbanych ubiorach i zaczęła wrzeszczeć „Hurrah!" Jednocześnie uderzyły rogi alpejskie, które pierwsze witały pochód jeszcze przed wsią i dostały już tak królewski datek, że nie mogły odejść, gotowe trąbić wszędzie i zawsze.

DCN.

WIKTOR GOMULICKI.

Wielki dzwon.

Uderzcie w wielki dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?
W wyniosłym zamku i w zapadłej chacie
Czekają na ten ton.
On tylko on
Serca pokrzepi, oskrzydli dusze,
Obudzi czujność ludu,
On tylko znosić da katusze,
Oddali zgon...
Na świt kto czeka, kto wygląda cudu,
W wielki uderza dzwon.

Wielki dzwon na wielką wieść,
Wielki dzwon na zmarłych cześć,
Wielki dzwon, by czarta zgnieść;
Wielki dzwon na czujne trwanie,
Wielki dzwon na snu przerwanie,
Wielki dzwon na zmartwychwstanie!

Wciąż grają dzwonki małe
Pieśń drobną a zawiłą:
Ani z niej Bóg ma większą chwałę,
Ani niemocnych ona darzy siłą.
W pogodę słuchać takiej pieśni miło —
Lecz, gdy zasępią niebo czarne chmury,
Gdy serca mrozi lęk ponury,
Gdy wichr cwałuje z rozwianą grzywą,
A krwawych ogni potoki
Leją obłoki
Z rozdartych gromem łon,
Dzwonnik, co grodu pilnym jest strażnikiem,
Pomija drobnych dzwonków zgraje świegotliwą —
W wielki uderza dzwon.

Bóg was postawił wysoko
Na wieży-strażnicy,
Strażnicę podparł opoką,
Dokoła wodne piekło,
A dalej, wśród nawałnicy,
Która z ironią wściekłą
Z rozbitków się naigrawa,
Rzucając w ciemność lwie i wilcze głosy,
Ciężko posuwa się nawa,
Nawa wioząca narodu losy.
Przebóg! czyż pozwolicie,
Wy, postawieni na szczycie,
Żeby ten korab święty
Miały schłonąć odmęty?
Wątłemi dźwięki ostrzegać go darmo...
Gdy szatan czyha na śmierci plon,
Gdy otchłań grozi — strażnik na łarmo
W wielki uderza dzwon.

Uderzcie w wielki dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?
Do was ze wszystkich stron
Upiorne ciągną postacie:
Dzieci niedoli, dzieci niewoli
W pokutnej, żebraczej szacie.
Jak straszne ich milczenie!
Zamarł w tych piersiach zbolałych głos,
Te dusze, jak pusty kłos,
Wyżarte przez cierpienie.
Za chwilę przestanie bić w nich serce,
Na pastwę pójdą kruków i wron...
Czyż ostatniej życia iskierce
Zagasnąć dacie?
Czyż zginąć mają bez win?
Na ich ruinie szatan wzniósłby tron...
Hej! na wieżę! Do sznurów! do lin!
W wielki uderzcie dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?

Hall Caine.

12

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XXV.

Pomimo, że spałam źle, dręczona jakiemiś dziwnemi snami, obudziłam się o świcie i, ubrawszy się pospiesznie, poszłam do kościoła wyspowiadać się i przystąpić do Stołu Pańskiego.

Dzień zapowiadał się burzliwie. Południowo-wschodni wiatr zerwał się w nocy; morze było zapienione; od Skały Panny Maryi dochodził jękliwy huk rozbijających się o nią bałwanów.

W kościele panowała posępna atmosfera pustki i chłodu. Zakrystyan ubierał Wielki Ołtarz w lilie i margerytki, a w bocznej kaplicy Ojciec Dan odprawiał mszę świętą, której słuchała, klęcząc, jedna tylko uboga kobiecina w czerwonej chustce na głowie.

Gdym w godzinę potem wracała do domu, wiatr tak się wzmógł, że ledwo mogłam utrzymać się na nogach. Ciężka, rudo-popielata mgła kłębiła się na górach; na mokrych łąkach podlatywały wrony, kracząc posępnie.

W domu zastałam nieopisany zamęt. Służące biegały, jak opętane. Moje kuzynki przerażonemi głosami wołały z góry; ciotka Brygida odpowiadała im ze złością, a ojciec, chodząc z pokoju do pokoju, otwierał i zamykał drzwi z trzaskiem.

Na mój widok tak się to wszystko raptem uciszyło, iż błysnęła mi myśl, że musieli się zlęknąć, czym nie uciekła.

— W imię Ojca i Syna, gdzieżeś ty była? — zawołała ciotka Brygida.

Odpowiedziałam, że w kościele, a ona zaczęła mnie strofować, czemu, zamiast pojechać, szłam pieszo, i zapewne przemoczyłam nogi, lecz ojciec przerwał jej, mówiąc:

— Dobrze już, dobrze. Niech zmieni obuwie i co przetrąci, bo musimy być w Holmotown za pół godziny.

Zjadłam śniadanie stojący i punktualnie o ósmej ja z ojcem zajechaliśmy przed Urząd, gdzie miał się odbyć cywilny ślub, zgodnie z przepisami prawa.

Urzędnik, starszy człowiek, z czerwonym nosem, przyjął nas dość kwaśno, widocznie zły, że musiał wstać tak wcześnie.

Wnet zjawił się pan Curphy, adwokat mego ojca, z rozpromienioną sztucznie twarzą, a w pół godziny potem nadjechał mój przyszły mąż ze swoim prawnikiem i panem Eastcliff.

Usiedliśmy w półkole przed stołem urzędnika i zaczęła się ceremonia. Była bardzo krótka. Byłam jakby nawpół odurzona i widziałam wszystko przez mgłę. Pamiętam, że urzędnik ochrypłym głosem czytał coś z niewielkiej książeczki, a ja powtarzałam za nim machinalnie słowo po słowie, jak również lord Raa z widocznem zniecierpliwieniem.

Poczem urzędnik otworzył wielką księgę; pisał w niej czas jakiś i poprosił lorda Raa, aby położył swój podpis. Następnie zwrócił się do mnie.

— Czy ja mam także podpisać? — zapytałam.

— A któżby inny? — rzekł pan Curphy, śmiejąc się. — Przecież nie Betsy.

— Dalej, dalej! — dodał mój ojciec ostro.

Podpisałam więc automatycznie, jak przez sen. Mój ojciec wręczył jakieś pieniądze urzędnikowi, poczem ten wyrwał kartkę przedziurawionego, niebieskiego papieru z wielkiej księgi i podał mi ją, mówiąc:

— To należy do pani.

— Do mnie? — rzekłam.

— A do kogóżby? — zaśmiał się znowu pan Curphy.

A ktoś inny powiedział coś o akcie ślubnym i o tem, że niewiadomo kiedy się przydać może.

Ceremonia była skończona. Lord Raa wstał i, narzekając na szkaradną pogodę i wczesną porę, zapytał urzędnika, czy ma co na rozgrzewkę, poczem wszyscy mężczyźni, śmiejąc się, przeszli do sąsiedniego pokoju, a ja zostałam sama, siedząc przed kominkiem z kopią ślubnego aktu w ręku.

Doznawałam takiego wrażenia, jakgdybym pogrążała się w jakieś otchłani, nie tracąc przytomności, i wiedząc, że tonę. Ale nie czułam z tego powodu ani rozpaczy, ani trwogi. Byłam wciąż niby zahypnotyzowana.

W pół godziny potem znalazłam się z powrotem w moim pokoju. Otoczyły mnie pokojówki i szwaczki i zaczęły krzątać się koło mego weselnego stroju; a ja przechodziłam z rąk do rąk automatycznie, niby lalka, bez siły i woli.

Ustrojono mnie w białą, atłasową suknię, haftowaną srebrem, na głowie upięto koronkowy welon spływający z pod girlandy mirtu i pomarańczowego kwiecia, w której tkwił ogromny brylant otoczony perłami, rodzinny klejnot szlachetnego domu Raa.

Otaczające mnie kobiety poczęły się unosić nad moim zachwycającym wyglądem i zapewne ta śnieżna biel musiała uwydatniać czarność moich włosów, a tęcze brylantu dodały blasku moim oczom.

Kościół był natłoczony. Lord Raa oczekiwał mnie u balustrady presbyterjum wraz ze swoim świadkiem i przyjacielem, panem Eastcliff. Obok stała lady Margaret, piastując więź pięknych, białych kwiatów.

Moje druchny: Betsy i Nessy, w ogromnych kapeluszach z czarnemi piórami, stanęły za mną. Słyszałam szelest ich różowych sukien i ich szepty oraz strofowania ciotki Brygidy, która w sztywnej, czarnej jedwabnej sukni i czepku, jak półksiężyc, rozkazywała im być cicho i wyglądać skromnie.

Wtem zadźwięczał dzwonek; organy zamilkły; chrząkanie i szmery w kościele ustały; ktoś powiedział: „Proszę tu stanąć, milordzie", na co lord Raa zapytał z nerwowym śmieszkiem: „Tu?" Podniosłam po raz pierwszy oczy i zobaczyłam ołtarz przystrojony kwiatami i jarzący od świateł, biskupa w pontyfikalnych szatach, Ojca Dana w komży i białej stule i chłopca ze srebrną miedniczką święconej wody.

Nigdy chyba nie było smutniejszego ślubu. Żadna panna młoda w podobnych okolicznościach nie doznała głębszego przeczucia wszystkich cierpień i nieszczęść, będących wynikiem przymuszonego i niedobranego małżeństwa. A jednak podczas tego obrządku zaszła we mnie tak nadzwyczajna zmiana, że na chwilę zapomniałam o moim smutku, o presyi, jaką na mnie wywarto, i uczułam się jakby uniesioną w nadziemskie sfery.

Podczas gdy biskup w krótkiej modlitwie wzywał błogosławieństwa Bożego na tych dwoje Jego dzieci, które miał świętym węzłem zaślubin połączyć, przeniknęło mnie takie poczucie boskiej potęgi tego obrządku, jakgdyby Najwyższy wejrzał był istotnie na moją małość i kierował mną według swojej woli.

Cóż znaczyła marność przygotowań, jakie doprowadziły do tego małżeństwa, jeżeli Bóg je tworzył? Bóg kojarzy wszystkie małżeństwa, jakie błogosławi Jego Kościół, i On kieruje i prowadzi ku Swoim świętym celom wszystkie ludzkie popędy, jakkolwiek nizkie i egoistyczne.

Opanowana tą myślą, w niej zogniskowałam całą moją duchową istotę; zatraciłam świadomość wszelkich innych względów i uczuć, byłam wprost w ekstazie.

Ale obrządek, który mnie tak uduchownił, wywarł wręcz odmienny skutek na lordzie Raa. Zdenerwowanie jego rosło widocznie, choć starał się je maskować udaną swobodą, zakrawającą na lekceważenie.

I tak, gdy biskup pochylił się nad nami i zapytał:

— Jakóbie, Karolu Munster, czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć te oto Maryę za małżonkę według obrządku naszego świętego Kościoła — mąż mój zawahał się i wybełkotał coś, mruknąwszy potem:

— Przecież jestem heretykiem.

Ale gdy biskup zwrócił się do mnie z tem samem pytaniem, odpowiedziałam donośnym, pewnym głosem:

— Mam.

A potem, gdy mąż mój miał położyć pierścionek oraz złoto i srebro na tacce (co uczynił bardzo niezręcznie) i gdy mu biskup kazał powtarzać za sobą:

„Tym pierścieniem zaślubiam cię; to złoto i srebro daję tobie; ciałem mojem cię czczę; i wszystkiem mem ziemskiem dobrem obdarzam cię“, widocznem było, że czyni to z wysiłkiem i jakby ociągając się.

Ale ja wzięłam pierścionek bez drżenia, bo pomyślałam, że wbrew temu wszystkiemu, co o jego życiu słyszałam, ten święty sakrament uczynił go moim i niczyim więcej.

Było coś dziwnie tajemniczego w tem wszystkiem i nie umiem tego wytłómaczyć, wiem tylko, że tak było, i że, zważywszy wszystko, był to może najosobliwszy fakt w całem mojem życiu.

Pamiętam, że podczas ślubu Ojciec Dan przemawiał do mnie kilkakrotnie łagodnie, jak do dziecka, ale ja nie potrzebowałam jego pokrzepienia, bo moja moc płynęła z Wyższego źródła.

Po ślubie biskup odprawił Mszę Weselną i udzielił nam błogosławieństwa papieskiego (za specyalną dyspensą z Rzymu), co wprowadziło mnie w stan jeszcze większej egzaltacyi.

Ojciec Dan odczytał epistołę, zaczynającą się od słów: „Żony niechaj będą podległe mężom“, biskup zaś ewangelię i zakończył ją słowami: „Tedy nie jest ich dwoje, ale jedno ciało, i co Bóg połączył w niebie, nie będzie rozłączone na ziemi“.

A potem przeszliśmy do zakrystyi, by podpisać akt, ale i wtedy jeszcze duch nadziemskiej ekstazy trwał we mnie. Wzięłam pióro i podpisałam się pewną ręką. Wślad za tem usłyszałam dokoła siebie gwar głosów, naprzód biskupa, potem mego ojca, potem mego męża, potem jeszcze wielu innych, i w mgnieniu oka, niby śnieg topniejący na słońcu, czar obrzadku ślubnego prysnął.

Uczułam dziwny, wewnętrzny dreszcz, jakgdyby dusza moja zbudziła się nagle z upojenia.

Organy zagrały Marsz Weselny, a mój mąż, ujmując mnie pod rękę, rzekł:

— Chodź.

I poszliśmy środkiem natłoczonego kościoła, a ja, jak przez mgłę, widziałam uśmiechnięte twarze dokoła, a dalej, w głębi matkę Jurka, obcierającą sobie oczy, i usłyszałam jej cichy szept, zwrócony do kogoś obok, zapewne do doktora:

— Boże, błogosław jej, bo słodkie to było zawsze dziewczątko.

Burza wzmogła się podczas ślubnej ceremonii, i gdy zakrystyan otworzył przed nami drzwi z wielkim trudem, wiatr wpadł do wnętrza z takim impetem, że zerwał mi z głowy welon i wianek i odrzucił na środek kościoła.

Usłyszałam, jak ktoś szepnął za mną, że to zły znak, lecz wnet orkiestra, uszykowana na gościńcu, zagrała marsza, i w chwilę potem jechałam już sam na sam z mężem moim w karecie do domu.

Wiatr wstrząsał szybami karety; za nami biły dzwony kościelne i grała orkiestra, przed nami bezlistne drzewa skręcały się, jakby w konwulsyach, a morze huczało w oddali.

— Psia pogoda—rzekł mój mąż.— Czy aby nie cierpisz na morską chorobę? Bo ja muszę być koniecznie jutro rano w Londynie.

U wjazdowej bramy Tommy Majtek, z poważną twarzą i odkrytą głową, stał pod tryumfalną bramą, z której wiatr wyszarpywał i ciskał na ziemię kwiaty, tworzące napis: „Boże, błogosław młodej parze“.

Gromadka dziewcząt służebnych oczekiwała nas przed drzwiami. Wszystkie trzymały się za swoje białe czepeczki i fartuszki, fruwające dokoła ich czarnych sukien. Gdym wysiadała z karety, powitały mnie, nazywając „mylady“ i „wasza lordowska mość“.

Weszliśmy do salonu i wtedy, spojrzawszy w zwierciadło nad kominkiem, zobaczyłam swoją twarz śmiertelnie bladą i oczy szeroko otwarte i jakby zgaszone. Poprawiłam rozrzucone włosy i umocowałam brylantowe spięcie nad czołem.

Wnet potem zaczęły nadjeżdżać inne powozy i goście weselni napełnili salon, otaczając nas i składając życzenia.

Ciotka Brygida, przytrzymując przekrzywiony czepek, wołała:

— Ach! ty szczęśliwa, szczęśliwa dziewczyno! Ale co za wiatr! Zupełnie, jak tego dnia, kiedy się urodziłaś.

Mój ojciec wpadł, jak wicher, i, uściskawszy mnie, rzekł:

— Jestem dumny z ciebie, moja córko. Prawdziwie dumny. Sprawiłaś się dzielnie.

A potem zbliżyła się lady Margaret i inni goście, ja zaś, przyjmując ich zdawkowe powinszowania, uśmiechałam się, zdjęta jakąś dziwną, powierzchowną wesołością, podczas gdy mój mąż, bardzo napozór *correct* i ugrzeczniony, miał coś tak pogardliwego i chłodnego w postawie i twarzy, że mi to mroziło krew w żyłach.

A ojciec mój stał w głębi i patrzył z tryumfem, jak cała arystokracya okoliczna podchodziła do mnie, i zdawał się powtarzać sobie w duchu: „Nareszcie! Nareszcie!“

Nieraz myśląc o tem, zastanawiałam się, czy sumienie nie drgnęło w nim, gdy patrzył na swoją córkę, strojną w klejnoty szlachetnego rodu, z jakim ja złączył — na tę bladą oblubienicę obok oblubieńca, którego jej kupił—i gdy pomyślał, jaką smutną parodyą świętego związku było to małżeństwo, zawarte dla dogodzenia jego pysze, jego próżności, a może i jego zemście.

Ale już było zapóźno. Byłam żoną lorda Raa. Wobec świata, prawa i Kościoła byliśmy nieodwołalnie i nierozerwalnie złączeni.

Koniec części drugiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Mój miesiąc miodowy.

Rozdział XXVI.

Gdy biskup i Ojciec Dan nadjechali, zadzwoniono na śniadanie. Podano je w nowej jadalni, już umeblowanej. Była to olbrzymia sala, ozdobiona zwierciadłami i obrazami w złotych ramach, niby podobna do tej, z której ją skopiowano, a przecież tak różniąca się przeładowaniem i brakiem poczucia tej miary, która jest tajemnicą dobrego smaku.

Śniadanie ciągnęło się do nieskończoności i było również mieszaniną wykwintu i wieśkich, niewybrednych gustów. Mój mąż, wciąż ze swą drwiącą miną spoglądał raz po raz porozumiewawczo na pana Eastcliffa, często nalewał sobie brandy ze stojącej przed nim karafki i trącał się ze wszystkimi.

Co do mnie, byłam niezmiernie wesołą i śmiejącą się bez przyczyny, pomimo, że czułam, jakgdybym miała w piersi kawał ciężkiego lodu, zamiast serca. Słuch mój był tak dziwnie zaostrzony, że słyszałam prawie wszystkie rozmowy, toczące się zmieszanym gwarem dokoła ogromnego stołu, pomimo, że głuszył je w dodatku wzmagający się niemal z każdą chwilą wicher. Wreszcie lokaje, których było tylu, że niemal za każdym gościem stał jeden, obnieśli ostatnie danie i wyszli, a wtedy powstał mój ojciec.

— Szanowni państwo i przyjaciele moi! — zaczął — młoda para opuszcza nas popołudniowym parowcem.

— Na taką pogodę? — odezwał się głos jakiś.

— Wielkie rzeczy — odparł mój ojciec. — Nie są z cukru, nie roztopią się; nie są z puchu, nie pofrunął. A mój zięć, lord Raa (tu nastąpiły głośne okrzyki i śmiechy), mój zięć powiada, że musi być jutro w Londynie, a ponieważ córka moja poprzysięgła mu dziś w kościele posłuszeństwo... Czy tak, ekscelencyo?... musi tedy z nim jechać! Napełnijmy więc kielichy i wypijmy za zdrowie państwa młodych.

Powstał nowy harmider głosów i szczęk szkła, a gdy się uciszyło, mój ojciec zabrał znowu głos:

— Jest to najpiękniejszy dzień w moiem życiu. Aby go doczekać, pracowałem, oszczędzałem, aż przyszedł. Wszyscy wiecie, kim jestem i skąd pochodzę.

Mój mąż podniósł głowę i wsadził monokl.

— Pochodzę z błotnistej lepianki, która stoi jeszcze niedaleko stąd. Mój ojciec został zabi... ale mniej-

sza z tem. Gdy go nie stało, cierpieliśmy wielką biedę i często-gęsto nie było co do gęby włożyć. A i poniewierki los nam nie szczędził... Małym chłopcem byłem, kiedy mnie ściągnął batem stangret... ale i o to mniejsza teraz. Bo oto dziś córka moja zaślubiła najpierwszego pana na tej wyspie..

Znów przerwały mu okrzyki, nawpół zagłuszone szumem deszczu, który się rozpadał gwałtownie.

Ojciec mówił dalej:

— Przed dziewiętnastu laty byłem tak pewny dopięcia mego celu, jak tego, że dziś wstałem z łóżka. Gdyby córka moja urodziła się była chłopcem, syn mój siedziałby na tem miejscu, na którem siedzi jego lordowska mość. Ale wszystko jest dobre, co się kończy dobrze. Nie mam syna, mam za to zięcia, a mój wnuk będzie najbogatszym z Lordów Raa, niekoronowanym królem Ellanu!

Tu już hałas stał się wprost ogłuszającym.

— Mówi się dziś dużo o rodzicach i dzieciach — podjął znów mój ojciec, gdy się trochę uspokoiło — a to, że córki powinny mieć swoją własną wolę, bo czują po swojemu, i tem podobne faramuszki. Ale pokażcie mi córkę, która by sobie lepszy los zgotowała, niż go ojciec mojej córki dla niej zgotował? Ona ma wielki majątek, a jej mąż ma wielkie nazwisko i czegóż im więcej na świecie potrzeba?

— Niczego! Niczego! — zakrzyczano z różnych stron.

Potem wstał biskup i swoim aksamitnym, uśmiechniętym głosem mówił, jako nie zdarzyło mu się błogosławić związku zawartego pod pomyślniejszemi auspicyami. Wprawdzie ci i owi mogą podnieść jakoweś zarzuty przeciwko małżeństwom mieszanym, ale Kościół nie zabraniał ich nigdy, a w danym wypadku jego lordowska mość (tu skłonił się głęboko memu mężowi) okazał się skłonnym do wszelkich ustępstw.

Po biskupie zabrał głos prawnik mego męża i z uśmiechem wyższości na swej gładko wygolonej twarzy oświadczył, że było to wielkim dla niego zaszczytem utorować drogę „przyszłemu, niekoronowanemu królowi Ellanu", wreszcie pan Curphy winszował zarówno memu ojcu, jak memu mężowi, zawartego małżeństwa i wyraził zdanie, że nie można lepiej zużytkować majątku, jak ratując nim podupadłe i historyczne rody, którym potrzeba tylko trochę pieniędzy, by znów dawnym zajaśniały blaskiem.

— Zdrowie państwa młodych! — wykrzyknął mój ojciec, poczem wszyscy powstali, krzycząc: „Wiwat jego lordowska mość! Wiwat jego lordowska mość!".

Podczas tych wszystkich przemówień mąż mój kręcił się niespokojnie na krześle i wychylał kielich za kielichem tak, że gdy wreszcie wstał, by odpowiedzieć na toasty, nie był zupełnie trzeźwym.

Rozwlekłym głosem podziękował biskupowi, mówiąc, że zdecydowawszy się na to małżeństwo, nie chciał wszczynać żadnych religijnych trudności, a co się tycze nowoczesnych pojęć o wzajemnych stosunkach pomiędzy mężem a żoną, to nie przypuszcza, aby doznał jakiegokolwiek w tym względzie zawodu od osoby wychowanej w klasztorze.

— Spodziewam się — wykrzyknął mój ojciec — sam bym jej to wybił z głowy.

— Dziękuję zatem wszystkim w imieniu moiem i mojej rodziny i... i... dziękuję także w imieniu mojej żony... i... koniec.

Ogarnęło mnie uczucie dotkliwego upokorzenia i wstydu. Czułam, że się czerwienię po białka oczu. W tych wszystkich przemówieniach nie było ani słowa o mnie, jako istocie żyjącej, i jej przyszłem szczęściu. Miałam szaloną ochotę zerwać się od tego stołu i uciec nietylko z pokoju, ale z domu, i w uciśnione piersi zaczerpnąć powietrza.

Wtem, ze swego miejsca, u szarego końca wstał Ojciec Dan. Zobaczyłam jego odświętną sutannę, mocno na szwach zniszczoną, zobaczyłam jego okrągłą twarz, całą w ogniu, usłyszałam głos drżący głębokiem wzruszeniem i spuściłam głowę, odgadując, co powie.

DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

ZENON PRZESMYCKI (Miriam). *„Pro Arte"*. Uwagi o sztuce i kulturze.

Książka niniejsza składa się z artykułów, które swojego czasu były drukowane w „Chimerze" oraz w innych czasopismach. Dobrze się stało, że zjawiły się w edycyi książkowej, gdyż aczkolwiek pisane w różnych sprawach aktualnych, zawierają uwagi niezmiernie oryginalne i ciekawe. Troska ich cała skupia się nad wołaniem o kulturę, nad wykazywaniem pozorów i blichtrów, nad tępieniem pozy, snobizmu, nieuctwa, sentymentalizmu i dyletantyzmu. I dlatego to, gdy się odczytuje jej stronice, rodzi się przed nami kapłańsko-męska dusza Miriama, składająca hołdy tylko sztuce, tylko życiu, tylko prawdzie. Dosyć zacytować zdanie następujące, by mieć pojęcie o ukochaniach Miriama:

„Sztuka nie jest rozrywką, ani też sposobem zadawalania tanich po dobrem trawieniu sentymentalizmów, czy też upodobań do pieprznych, bezmyślnych żartów i do plotkarsko-pamfletowych aluzyi. Sztuka ma na celu to, o czem myślał Michał Anioł, mówiąc: „gdy czytam Homera, zdaje mi się, że na dwadzieścia stóp urastam w górę".

Co też jeszcze charakteryzuje Miriama, to jego entuzyazm dla wszystkiego, co młode, śmiałe a szczere. Z wytrwałością umiał on walczyć o Żeromskiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza, Przybyszewskiego, aż im wywalczył należne stanowiska. Książka Miriama przyczynić się powinna do wyjaśnienia wielu kłamliwych insynuacyi, które po dziś jeszcze krążą o tak zwanym modernizmie. Studya zaś o liryce Kasprowicza, o odrodzeniu bajki, wspomnienie o Dygasińskim, o drzeworycie japońskim, następnie tak rzadka rzecz, jak miniatura portretowa — czynią z tej książki rzecz nieodzowną dla każdego kulturalnego człowieka.

LESZEK KONOPACKI. *„Zagadnienia kultury uczuciowej"*. Tom I: „Kupało".

Pan Konopacki pisuje wiersze i opatruje je komentarzami w celu wyjaśnienia swego stanowiska co do poezyi i życia wogóle. Obecnie napisał książeczkę, w której kontynuuje swoje niezadowolenia z życia współczesnego. Przyroda powinna odkupić szarego człowieka od jego bezdusznej szarzyzny, powinna nauczyć, jak należy tworzyć z siebie osobowość. Myśli oryginalnych po Rousseau, Nietzschem i tylu, tylu innych poetach-filozofach w książce p. Konopackiego nie znaleźć, ale rekompensuje wszystko uczuciowość delikatna i szlachetna.

ALEKSANDER ULAR. *„Żółta Fala"*. Romans na tle walki rasowej. Tłóm. Br. Neufeldówny.

Doskonała, interesująca i ciekawa powieść przyswoiła nam Br. Neufeldówna. Antagonizm rasy białej i żółtej wygrywa niezmiernie egzotyczne melodye pod akompaniament opowieści o małżeństwie chińczyka i francuzki. Przekład p. Neufeldówny pod każdym względem wzorowy.

Z literatury włoskiej.

× *L. Pirandello. „I vecchi ed i giovani" („Starzy i młodzi")*. Epoka polityczno-finansowych skandalów w Rzymie Crispi'ego i Giolitti'ego oraz społecznych zaburzeń na Sycylii stanowi tło niniejszej powieści o szerokiem założeniu. Autor zajmująco i umiejętnie skreślił przeciwieństwa i starcia między społecznymi i politycznymi przedstawicielami starego systemu, który, zwłaszcza na południu, walczy jeszcze wytrwale i namiętnie o swoje istnienie z krzewicielami pojęć nowych. Stosunki sycylijskie są dla czytelnika niewłoskiego zupełną niespodzianką: karygodne zaniedbanie Sycylii przez parlament i rząd Włoch zjednoczonych odgrywa śród katastrof, opisanych w powieści, bardzo znamienną rolę. Obrazem okolicy Girgenti, dzikiej a płodnej przyrody tamtejszej, wielkich ruin i wspomnień historycznych z czasów greckich, dowiódł p. Pirandello, że rozporządza niepospolitym darem opisowym. Wadą powieści jest nadmierne nagromadzenie postaci i wypadków oraz niejasna kompozycya.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT".

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.